

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

5)

W tej chwili podniósł się od kasy nieduży, pękaty człowieczek, polyskujący złotą oprawą binokli i wspaniałym brylantem w krawacie, który pilnie obserwował Stefę i przysłuchiwał się całej jej rozmowie z ekspedjentem.

— Panie Władysławie, proszę załatwić pana — wskazał wchodzącego do sklepu klienta — panią ja sam obsłużę.

— Pan Władysław spojrzał zdziwiony, ale bez protestu spełnił polecenie szefa, a pan Antoni Babel zwrócił się ku Stefce. Jego male, niebieskie, wypukłe oczy świdrowały z poza szkieł twarz dziewczyny.

— Pani życzyła sobie kupić ten oto flakon. Wybór znakomity, to firma pierwszorzędna, zapach przelocny... w sam raz dla pięknych pań — dodał ciszej nieco i trochę lęklawie.

Stefa przyjęła komplement uśmiechem i lekko przymrużywszy oczy, spojrzała na właściciela sklepu.

— Cóż, kiedy drogie — westchnęła.

— O! u nas są ceny wprowadzić stałe, ostatecznie... w tym wypadku mógłbym odstąpić trochę taniej... nawet dużo taniej.

— A zatem?

Cena podana była śmiesznie niska w stosunku do istotnej.

Jednak na twarzy Stefę nie odmalował się nawet cień zdziwienia. Kazała zapakować perfumy tonem tak pewnym i spokojnym, jakby to nagłe dziesięciokrotne obniżenie ceny było czemś zgoła naturalnym, samo przez się zrozumiałym, tylko jej kocie źrenice błyszczały mocniej i zerkały na pękatego pana Babela dyskretnie, ale natrączywie.

— Szanowna pani może obejrzy przybory do manicure, mamy rzeczy pierwszorzędne a nie drogie.

— To już chyba innym razem.

— Prosimy bardzo o odwiedzenie nas znów... postaramy się zadowolnić panią dobrodziejkę — w lekko drżącym głosie, nerwowych ruchach i rozbieganiem spojrzenia Antoniego Babela przebiegało zainteresowanie, przewyższające stanowczo zwykłą uprzejmość kupiecką.

Stefa zapłaciła i wyszła, ale od drzwi jeszcze raz obrzuciła pana Babela snopem zielonych iskier, tryskających z jej źrenic. W progu zetknęła się z kobietą, która niezgrabnie a skwapliwie usunęła się jej z drogi.

— Masz Antoś, przynoszę ci drugie śniadanie, doskonały placek ze serem upiekłam i bułeczki też świeżutkie...

Babel skrzywił się z niezadowolaniem, a spojrzenie jego ciągle jeszcze biegło w kierunku, gdzie zniknęła Stefka.

— Także pomysł — syknął — przynosisz mi do sklepu placek, jak jakiemu fiakrowi, albo czeladnikowi murarskiemu... Ty się chyba nigdy nie nauczysz eleganckich form!

Chuda, żółtawa twarz kobiety spłonęła rumieńcem przykrości, w łagodnych, wypływających oczach zakręciły się łzy.

— Przepraszam cię Antoś — szepnęła pokornie — ale myślałam, żeś ty może głodny.

— No dobrze, dobrze, idź już, idź, bo tylko przeszkadzasz — nie oglądając się już więcej na żonę Babel, zasiadł znów przy kasie.

— Do sklepu weszło kilka osób, które obsłużono szybko i zwinnie. Dwaj ekspedjenci i młodzieńca, pomagająca im panienka krzatali się żwawo, czując na sobie bystry, dozorujący wzrok szefa.

Bablowej, pomimo wyraźnego, życzenia męża odchodzić się stąd jakoś nie chciało. Usunąwszy się pod ścianę, aby nie przeszkadzać nikomu, wodziła dokoła oczyma rozrzuconymi, pełnymi podziwu i naiwnej dumy. Oszkłone gablotki, wytworne kasetki i flakony, setki pudełek, pudeleczek, dubek, wszystko to zdawało się imponować jej bardzo i cieszyć nadzwyczajnie.

W progu ukazał się nowy gość, którego zlekka wyszarzone palto, fantazyjnie wygięty kapelusz, chude policzki, bardzo żywe oczy, bujna, nieporządnie uczesana czupryna i nieduża kłaczkowata bródka składały się na całość wielce charakterystyczną i w swoim rodzaju stylową. Nowy przybysz nie wyglądał

wcale na to, jakoby mógł dużo korzyści przysporzyć firmie, a jednak Babel na jego widok zerwał się i pobiegł na spotkanie z wyciągniętą serdecznie dłoń.

— Witam kochanego redaktora, witam! czym mogę służyć?

— Mydelko do golenia, ale to głupstwo... ja właściwie nie po to przyszedłem. Mam do pana inny, o wiele ważniejszy interes.

— Ależ słucham, słucham...

— Hm... to się nie da tak szybko powiedzieć... trzeba na to trochę czasu i odpowiedniego nastroju. Rozumie pan?

— Naturalnie, że rozumiem drogi redaktorze... powtórzył Babel z widocznym upodobaniem ostatnie słowo.

— Ale nastrój, jak panu wiadomo przychodzi najłatwiej w odpowiedniej atmosferze, więc możebśmy tak...

— Oczywiście, oczywiście! Redaktor pozwoli, że zjemy dzisiaj razem obiad w Saskim hotelu.

— Zgoda.

— Antoś — jęknęła nagle milcząca dotąd Bablowa — znów na obiad nie przyjdiesz?!

Mąż dęgnął, iskry rozdrażnienia gniewnego zamigotały w jego małych oczkach. Nerwowo poprawił szkła na nosie.

— To ty jeszcze tutaj? — rzucił szorsko — dlaczego nie idziesz do domu do dzieci?

— Proszę przedstawić mi pani dobrodzieje — wiracił pospiesznie jegomość tytułowauy redaktorem.

— A tak... pan pozwoli moja żona, pan redaktor Olczak.

Bablowa niezręcznie podała rękę i ukłoniła się panu redaktorowi nazbyt nisko.

— Idźże już raz domu — szepnął jej mąż.

— A kiedy ty przyjdiesz, Antoś?

— No przyjdę, przyjdę!

— A zostawić ci knedli ze śliwkami na kolację?

— A dajże mi święty spokój z knedlami i zabieraj się już — mówił cicho ale z wielką irytacją.

— Idę już idę. Pamiętaj Antoś nie zapóźnij się tam bardzo...

— Całuję raczki panu redaktorowi.

Babel aż zadygotał cały, tak, że szkła spadło mu z nosa.

Olczak ukłonił się z rozmachliwą galanterią, w której było coś drwiącego.

— Moje najniższe uszanowanie pani dobrodzieje — a gdy Bablowa znikła już za drzwiami rzekł:

— Pańska żona musi być bardzo dobrą kobietą.

— Dobra, dobra — mruknął — ale co tam po samej dobroci panie tego... Wie pan, panie redaktorze, ja tu przed kilkunastu minutami widziałem kobietę, powiadam panu ślinka idzie! Co za buzia, figurka, nóżka, a jak się pafrzy, jak uśmiecha! Taka kobieta, panie, to działa w człowieku na instynkt!

* * *

Roman Królecki wrócił do domu w usposobieniu nieszczególnym. Ogarnęła go jakaś niewytłomaczona melancholia, nieokreślona tęsknota, dokuczało mu zimno i zmęczenie wewnętrzne. Wyszedł wcześniej niż zwykle z kawiarni, choć go nic właściwie nie ciągnęło do samotnego pokoju umeblowanego cudzymi, obojętnymi sprzętami. Znużyła go dziwnie kawiarnia, jej gwar, hałas bezmyślny i dym zatruwający powietrze, znudził szczebiot złotowłosej pani Ady, grającej dziś bardzo lichą swoją rolę kobiety wyższej, niezrozumianej. Przestały go również bawić obcesowe zaczepki filuteriej kelnerki Tosi, która mu z całą otwartością okazywała daleko idące względy. Niesmakowała mu kolacja, uczuł nieprzewyciężony wstręt do restauracyjnego kofeiny i nieświeżego tłuszcza. Postanowił więc położyć się wreszcie, odpocząć, przeczytać jakąś książkę, kioraby go w inny od codziennego, powszedniego świat przeniosła.

Może ten, rzadki u „pięknego Romka” spleen, przywiał zimny wiatr listopadowy, może tkanki jego mózgu przesyciła zmęczeniem wilgoina, ciężka mgła, może to z kroplami drobnego ślękającego deszczu spadał na serce tęsknoty i smutki. Idąc po lepkiem błocie jesieniem, czując na twarzy uderzenia deszczu ze śniegiem zmieszanego, wdychając duszne, mgliste powietrze marzył jakieś murawy smaragdowo-zielone, słońcem włosiem wycalowane, srebrzystą rosą sperlone, przeikane białymi gwiazdkami

zawilców i modrych sasanek. Gdzieś w cieniu gaju pachną mocno fiołki aksamitne upojne niby oczy rozkojane dziewczyny. Roman rozdyma nozdrza, jak gdyby zamiast specyficznego swędu miejskiego wciągając w nie woń słodką, nad wszystkie inne ulubioną.

— Brrr... — wstrząsnął się nagle i otulił mocniej paltam — co za przeklęty wiatr i mgła!

Poomacku przesunął się przez wąski korytarzyk, w którym nie świeciło się ze względów oszczędnościowych i wszedł do swego pokoju.

Zdawało mu się, że czuje zapach fiołków.

— Jakaś hallucynacja węchowa — pomyślał i przekreślił kontakt elektryczny.

Białe światło luneta prosto na piękną wazę, naśladową bronz antyczny, wypełnioną fiołkami.

— Cóż do dyabła chory jestem czy co? gorączkę mam chyba!

Podszedł do stołu i dołknął fiołków. Były miękkie i miłe w dołknięciu jak jakaś dobra pieszczotliwa ręka kobieca, a bił od nich zapach delikatny, orzeźwiający.

Roman spoglądał ze zdumieniem. Niemógł już wątpić, że to rzeczywistość, a nie złudzenie, że w tym pokoju w ten słotny dzień listopadowy znalazły się prawdziwe, żywe pachnące fiołki, jakby wyczarowane jego marzeniem o wiosnie. Ale skąd one się tutaj wzięły? Kto je mógł przynieść? fiołki w naszym klimacie w listopadzie! To osobliwość, czary, albo wielkie kobiece kochanie.

Pani Pyszkowska, pani Pyszkowska! niech pani tutaj pozwoli.

A co tam panu się znów stało? Panie Boże odpuść! — jęknęła ostrokonciasta, gotycka niewiasta we wdowiej czerni.

— Kto przyniósł te fiołki?

— Ekspres.

— Nie było żadnego biletu? żadnego listu?

— Nic nie było. Ale to z pewnością od którejś z tych tam pańskich... — Fiołki w listopadzie!.. marnotrawstwo o pomstę do nieba wołające!.. Panie Boże odpuść!

— Dziękuję pani.

— Aha! co to jeszcze chciałam powiedzieć... była tutaj dwa razy ta panna, blondyna, taka słuszną w sobie, ta co to pan wie, powiedziała, że jeszcze raz przyjdzie. Pan to też ładne życie prowadzi, Panie Boże odpuść!

— Pani będzie łaskawa nie wtrącać się do moich osobistych spraw — rzekł Królecki sucho.

— A czy ja się wtrącam? O! tylko mówię, że zgorszenie i tyle. Panie Boże złutuj się!

Roman zostawszy znów sam w pokoju, podszedł do wazy z fiołkami. Pochyliwszy się nad nią, głaskał pieszczotliwie ręką delikatne kwiecie, tak jakby to było jakieś żywe przytulne stworzenie. Nasycił się ich subtelną wonią, która jego rozstrojonym nerwom przynosiła ulgę rozkoszną.

— Kobieta niezawodnie, ale która?... Musi mieć niezwykle rozwiniętą intuicję i musi prawdziwie kochać. Która?... może pani Ada? ech nie! gdzieżby tej rozkapryszonej gęsi, udającej orlicę, przyszło do głowy coś podobnego. Może ciemnooka studentka Józia? wątpliwe, ta raczej by napisała list na 12 stu stronicach... No, a z pewnością już nie pochodzą te kwiaty od tłustej Toli, ani od córeczki milionowego rzeźnika. Nie, nie! to nie żadna z nich... Któż jest ta tajemnicza, fiołkowa?

Przechodził myślą wszystkie swoje znajomości kobiece, wszystkie flirty i miłostki i nie mógł odgadnąć.

— Ktokolwiek jesteś bądź błogosławiona!

— Romku, a coż ty taki zamyślony! nic nie widzisz, nic nie słyszysz! Serwusi — zbudził go z zadumy głos Stefę Łączkównę, która nie-spostrzeżenie weszła do pokoju.

Króleckiemu przeszedł przez twarz grymas niezadowolnienia. Nie pragnął w tej chwili wcale widzieć Stefę, a zresztą podrażnił go jej krzykliwy sposób mówienia.

— No i cóż się tak patrzysz jakbyś mnie pierwszy raz widział? Pomóż mi lepiej zdjąć zakieł bom przemokła.

— Potrzebnie też wychodziłaś na taką słotę.

— Grzecznie mnie witasz — wydeła wykarminowane usta z lekką obrazą — zamiast mi podziękować nie wiem jak, to on się jeszcze krzywił! Inny toby z radości wyskoczył ze skóry.

— Ja nie wyskoczę.

— Wiem, ale ja cię i tak lubię, ty świnko morska. Pocałuj że mnie, słyszysz?!

Ciąg dalszy nastąpi.